

**ISABEL  
ALLENDE  
EVA LUNA**

PRZEŁOŻYŁA EWA ZALESKA

**MARGINESY**

*Eva Luna*

COPYRIGHT © Isabel Allende, 1987

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Zaleska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2025

Rzekła wtedy do Szeherazady: „Na Allacha, siostró,  
opowiedz nam cokolwiek, by skrócić nocne godziny...”.

*BAŚNIE TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY*

Nazywam się Eva, co według pewnej książki, którą posłużyła się moja matka, wybierając dla mnie imię, znaczy „życie”. Urodziłam się w najdalszym pokoju mrocznego domu i wzrastałam wśród staroświeckich mebli, łacińskich książek i ludzkich mumii, choć nie wpędziło mnie to w melancholię, bo przyszłam na świat z zapisanym w pamięci tchnieniem puszczy. Mój ojciec, Indianin o żółtych oczach, pochodził z miejsca, w którym łączy się sto rzek, pachniał lasem i nigdy nie spoglądał prosto w niebo; wychował się pod koronami drzew i światło wydawało mu się nieprzyzwoite. Consuelo, moja matka, spędziła dzieciństwo w legendarnej krainie, gdzie poszukiwacze przygód od wieków wypatrywali owego miasta ze szczerego złota, które ujrzeli niegdyś konkwistadorzy w bezmiarze własnej zachłanności. Krajobraz tych stron odcisnął na niej swoje piętno, a ona, w sobie tylko znany sposób, zdołała przekazać je mnie.

Misjonarze przygarnęli Consuelo, gdy jeszcze nie umiała chodzić; była małym zwierzątkiem, nagim, umazanym błotem i ekskrementami, które zjawiało się, pełząc po mostku przystani, niczym maleńki Jonasz, wypłuty przez wieloryba słodkich wód. Kiedy ją wykąпали, stwierdzili, że jest bez wątpienia dziewczynką, co wprowadziło ich w pewne zakłopotanie, ale skoro już się tam znalazła i trudno ją było wrzucić do rzeki, założyli jej pieluchę, żeby zakryć wstydlive miejsca, pod powieki zapuścili kilka kropli soku

cytrynowego, żeby wyleczyć zapalenie, z którego powodu nie mogła otworzyć oczu, i ochrzczili ją pierwszym żeńskim imieniem, jakie przyszło im do głowy. Zajęli się wychowaniem dziewczynki, nie dochodząc jej pochodzenia, bez rozczulania się, przekonani, że skoro opatrzność Boża zachowała ją dotychczas przy życiu, zadba także i potem o jej zdrowie fizyczne oraz duchowe, a w najgorszym razie zabierze ją do nieba jak inne niewiniątka. Consuelo wzrastała bez ustalonego miejsca w surowej misyjnej hierarchii. Nie była służącą w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie była traktowana tak samo jak indiańskie dzieci w szkole, a kiedy raz spytała, który z księży jest jej tatusiem, dostała po twarzy za zuchwałość. Powiedziała mi, że jakiś holenderski żeglarz zostawił ją w dryfującej łódeczce, ale to na pewno bajka, którą wymyśliła potem, żeby uwolnić się od moich natarczywych pytań. Myślę, że w rzeczywistości nic nie wiedziała o swoich przodkach ani jak znalazła się w owym miejscu.

Misja tworzyła maleńką oazę pośród zmysłowej roślinności, jaka pleniła się od brzegu rzeki aż do podnóża wielkich geologicznych wypiętrzeń, pnących się, jakby przez boskie niedopatrzenie, prawie do nieba. Czas się tam zakrzywiał, a odległości mamiały ludzki wzrok, każąc podróżnemu chodzić w kółko. Wilgotne i gęste powietrze niosło woń kwiatów, ziół, ludzkiego potu i oddechu zwierząt. Panował uciążliwy upał, ulgi nie przynosił żaden podmuch wiatru, rozgrzewały się kamienie i krew w żyłach. O zmierzchu niebo zakrywały fosforyzujące komary, których ukąszenia powodują niekończące się męczarnie, nocami zaś wyraźnie dobiegały nawoływania ptaków, wrzaski małp i daleki grzmot wodospadów, które rodzą się wysoko w górach, a potem spadają z wojennym łoskotem. Skromny budynek ze słomianej plecionki zarzuconej gliną, z drewnianym belkowaniem wieży i dzwonem wzywającym na msze wznosił się, podobnie jak pozostałe chaty, na palach wbitych w błotniste dno rzeki o opalizujących wodach i brzegach zamazanych odbłaskami światła. Domy zdawały się dryfować niczym dziw-

ne białe kwiaty wśród cichych łódek, śmieci oraz psiej i szczurzej padliny.

Wszyscy łatwo rozpoznawali Consuelo nawet z daleka z powodu długich włosów, rudych jak smuga ognia pośród wiecznej zieleni tutejszej przyrody. Jej towarzyszami zabaw były indiańskie dzieci o wydętych brzuchach, zuchwała papuga klepiąca *Ojcie nasz* przekleństwami i małpa przywiązana łańcuchem do stołowej nogi. Od czasu do czasu dziewczynka uwalniała małpkę, żeby poszukała sobie w lesie narzeczonego, ale ona i tak zawsze wracała, a potem iskała się, usiadłszy w tym samym miejscu. Wtedy to pojawili się w tych okolicach protestanci, rozdawali egzemplarze Biblii, wygłaszali kazania przeciwko Watykanowi i nie zważając na upał ani na słotę, taszczyli na wózkach pianina, żeby nawróceni mogli śpiewać podczas publicznych uroczystości. Ta konkurencja zmuszała księży katolickich do całkowitego poświęcenia się pracy i przez to mało zajmowali się Consuelo. A jednak przeżyła, spalona słońcem, niedożywiona, karmiąc się tylko juką i rybami, zarobaczona, pocięta przez komary, wolna jak ptak. Oprócz pomocy w domowych zajęciach, uczestniczenia w obrzędach religijnych i chodzenia czasem na lekcje czytania, arytmetyki i religii nie miała innych obowiązków. Wałęsała się, chłonąc woń roślin i tropiąc zwierzęta, z głową pełną widoków, zapachów, kolorów, smaków i legend, jakie niosła rzeka, a także opowieści przywożonych z pogranicza.

Gdy miała dwanaście lat, poznała hodowcę kur, ogorzałego Portugalczyka, twardego i oschłego na zewnątrz, lecz w środku pełnego radości. Jego kury dreptały po okolicy i połykały każdy połyskujący przedmiot, który napotkały na swej drodze. Potem ich pan nacinał im nożem wole i wybierał ze środka ziarenka złota, zbyt małe, by uczynić go bogatym, lecz wystarczająco duże, by podsycać jego złudzenia. Pewnego ranka Portugalczyk dostrzegł dziewczynkę o białej skórze i z płomieniem na głowie, gdy w podkasanej sukience stała w kałuży błota, i wydało mu się, że znowu dostał napadu febry.

Gwizdnął ze zdumienia; zabrzmiało to jak przywoływanie wierzchowca. Gwizd przeszył powietrze, ona uniosła głowę, ich spojrzenia spotkały się i oboje jednocześnie się uśmiechnęli. Od tego dnia często przebywali razem, on przyglądał się jej z zachwytem, a ona uczyła się portugalskich piosenek.

– Chodźmy pozbierać złoto – powiedział pewnego dnia mężczyzna.

Weszli w głąb lasu, aż stracili z oczu dzwon misji, i zanurzając się w gęstwinę, podążali dalej ścieżkami, które znał tylko on. Cały dzień szukali kur, nawoływali je pianiem koguta i łapali w locie, dostrzegłszy którąś wśród listowia. Ona przytrzymywała je między kolanami, a wtedy on otwierał im wole dokładnym nacięciem i wkładał palce w poszukiwaniu ziarenek złota. Kury, które przeżyły, zaszyli potem igłą z nitką, by nadal mogły służyć swemu panu, a pozostałe wrzucili do worka, żeby sprzedać je w osadzie albo użyć ich na przynętę, pióra zaś spalili w ognisku, bo pióra przynoszą nieszczęście i można się od nich zarazić pypciem.

Consuelo wróciła o zmierzchu, z potarganymi włosami, szczęśliwa i poplamiona krwią. Pożegnała się z przyjacielem, wspięła po linowej drabinie z łodzi na pomost i przed samym nosem ujrzała cztery obrzydliwe sandały dwóch zakonników z Estremadury, którzy czekali na nią z rękoma zaplecionymi na piersiach i z wyrazem straszliwej odrazy na twarzach.

– Już czas, żebyś odjechała do miasta – powiedzieli.

Na nic się zdały błagania. Nie pozwolili także wziąć jej ze sobą małpy ani papugi, bo stanowiły nieodpowiednie towarzystwo w nowym życiu, jakie miała rozpocząć. Zabrali ją razem z pięcioma indiańskimi dziewczynami, związawszy im nogi w kostkach, żeby nie mogły wyskoczyć z pirogi i zniknąć w rzece. Portugalczyk pożegnał się z Consuelo, nie dotknął jej, choć posłał długie spojrzenie i ofiarował nanizaną na sznurek grudkę złota w kształcie zęba. Będzie nosiła tę pamiątkę na szyi niemal całe życie, zanim odda ją wresz-

cie komuś na znak miłości. Widział dziewczynę po raz ostatni, gdy ubrana w wypłowiały perkalowy fartuch, w słomkowym kapeluszu wcisniętym głęboko na oczy, bosa i smutna machała mu na pożegnanie ręką.

Początkowo płynęli dopływami rzeki wśród krajobrazu, który mógł przyprawić o pomieszanie zmysłów, potem podróżowali na grzbiecie muła przez pocięte urwiskami płaskowyże, gdzie nocami zamarzały myśli, i wreszcie ciężarówką przez podmokłe równiny, lasy dzikich bananowców i karłowatych drzew ananasowych, po drogach pełnych piasku i soli, nic jednak nie dziwiło dziewczynki, bo nic nie może zadziwić kogoś, kto przyszedł na świat w miejscu najbardziej olśniewającym. Podczas tej długiej drogi wypłakała wszystkie łzy, jakie w sobie nosiła, nie zostawiając ani jednej na późniejsze smutki. Gdy ucichł szloch, zamknęła usta w postanowieniu, że od tej chwili otwierać je będzie wyłącznie po to, by udzielić niezbędnej odpowiedzi. Kilka dni później dotarli do miasta i zakonnicy zaprowadzili przerażone dziewczynki do klasztoru Siostrzyczek Miłosierdzia. Jedna z zakonnic otworzyła im żelazną furtę kluczem jak do więziennej bramy, a potem zaprowadziła na rozległe, otoczone krużgankami cieniste patio, pośrodku którego tryskała fontanna wyłożona malowanymi kafelkami. Gasiły w niej pragnienie gołębic, drozdy i kolibry. Kilka młodych dziewczyn ubranych w szare mundurki siedziało kołem w cieniu i obszywało materace zakrzywionymi igłami lub wypłatało wiklinowe kosze.

– Modlitwa i praca przyniosą wam ulgę w waszych grzechach. Nie przyszedłem, by leczyć zdrowych, lecz by opiekować się chorymi. Bardziej raduje się pasterz z odnalezienia jednej zbłąkanej owieczki niż z wszystkich pozostałych. Oto Słowo Boże, niech będzie pochwalone Imię Pańskie. Amen. – Takie słowa lub im podobne wyrecytowała zakonnica z dłońmi ukrytymi w fałdach habitu.

Consuelo nie zrozumiała znaczenia tej przemowy ani nie zwróciła na nią większej uwagi, bo czuła się wycieńczona i przytłaczano

ją wrażenie, że została uwięziona. Nigdy przedtem nie przebywała wśród ścian, więc gdy spojrzała w górę i zobaczyła niebo zawężone do rozmiarów czworoboku, pomyślała, że się udusi. Kiedy oddzielono ją od towarzyszek podróży i zaprowadzono do kancelarii Matki Przełożonej, nie przyszło jej na myśl, że dzieje się tak za sprawą jej jasnej skóry i oczu. Lata całe nie trafiła do siostrzyczek podobna istota, przysyłano im tylko dziewczynki ras mieszanych, pochodzące z najbiedniejszych dzielnic, lub Indianki, które siłą przywozili tu misjonarze.

– Kim są twoi rodzice?

– Nie wiem.

– Kiedy się urodziłaś?

– W roku komety.

Już wówczas Consuelo maskowała własną niewiedzę za pomocą poetyckich wyrażen. Odkąd usłyszała po raz pierwszy o komecie, postanowiła przyjąć jej pojawienie się za datę swego urodzenia. Ktoś opowiedział jej w dzieciństwie, że przy okazji tamtego wydarzenia świat oczekiwał z przerażeniem jakiegoś cudu. Uważano, że kometa wynurzy się jak ognisty smok, a gdy zetknie się z ziemską atmosferą, jej ogon spowije planetę trującymi gazami i żar rozgrzanej lawy położy kres wszystkim formom życia. Niektórzy popełnili samobójstwo, żeby uniknąć spalenia żywcem, inni szukali zapomnienia w pijatykach, obżarstwie i cudzołóstwie. Widok zieleniejącego nieba oraz wiadomość, że pod wpływem komety prostują się kręcone włosy Mulatów, a włosy Chińczyków zwijają się w loki, zrobiły wrażenie nawet na Dobroczyńcy, rozkazał więc wypuścić niektórych opozycjonistów, trzymany w więzieniu już od tak dawna, że zapomnieli, jak wygląda światło dzienne, choć niektórzy zachowali buntowniczego ducha i zamierzali przekazać go następnym pokoleniom. Pomysł, by narodzić się wśród takiego strachu, kusił Consuelo, mimo pogłosek, że wszystkie zrodzone wówczas dzieci będą szkaradne i pozostaną takie długie lata po tym, jak kometa już

zniknie z pola widzenia niczym wielka kula z lodu i gwiazdnego pyłu.

– Trzeba najpierw zrobić porządek z tym ogonem szatana – orzekła Matka Przełożona, ważąc w dłoniach warkocz z połyskującej miedzi, który opadał na plecy nowo przybyłej.

Poleciła ściąć jej włosy, a głowę umyć w ługu z mieszkanką Aureolina Onirem, żeby zlikwidować wszy i przytłumić zuchwały kolor, w wyniku czego połowa włosów wypadła, reszta zaś nabrała odcienia gliny, bardziej przystającego do charakteru i celów tej religijnej instytucji niż owa płomienna kaskada.

Consuelo spędziła tam trzy samotne i ponure lata, podczas których chłód przenikał jej ciało i duszę. Nie mogła uwierzyć, że to samo słońce, tak anemiczne na klasztorным patio, potrafi rozpałić puszcę, gdzie został jej dom. Za mury klasztorne nie docierała bezbożna wrzawa ani oznaki pomyślności, jaka nastąpiła w kraju po tym, jak ktoś wykopał studnię, z której zamiast wody trysnął czarny strumień, gęsty i cuchnący niczym odchody dinozaura. Kraj leżał na rozległych niczym morze złożach ropy. Nowe życie wstąpiło w pogrążoną w marazmie dyktaturę, ponieważ fortuna tyrana i jego krewnych urosła tak bardzo, że zostawili troszkę dla innych. Miasta zaczęły się powoli rozwijać, na pola naftowe przybyli krzepcy majstrowie z północy, kładąc kres starym tradycjom, powiew nowoczesności skrócił damskie spódnice, ale w klasztorze Siostrzyczek Miłosierdzia nie miało to żadnego znaczenia. Życie rozpoczynało się tu pierwszymi modlitwami o godzinie czwartej nad ranem. Dzień przebiegał wedle niezmiennego porządku i kończył się biciem dzwonów o szóstą, czyli w godzinie żalu za grzechy, żalu, który oczyszczał duszę i przygotowywał na niespodziewaną śmierć, jako że noc zawsze mogła się okazać podróżą bez powrotu. Głęboka cisza, korytarze wyłożone kamiennymi płytami pociągniętymi woskiem, zapach kadzidła i lilii, szmer modlitw, ławki z ciemnego drewna, białe ściany bez ozdób. Obecność Boga była wszech-

ogarniająca. Oprócz zakonnic i dwóch służących w przestronnym, pokrytym dachówkami budynku z suszonej na słońcu cegły mieszkało tylko szesnaście dziewczynek, w większości osieroconych lub porzuconych przez rodziny. Uczyły się używać butów, jeść za pomocą noża i widelca i wykonywać najprostsze prace, żeby później mogły zatrudnić się jako skromne pomoce domowe, ponieważ nie spodziewano się, by potrafiły robić cokolwiek innego. Consuelo różniła się wyglądem od reszty, a zakonnice, przekonane, że nie jest to przypadkowe, lecz stanowi znak woli bożej, dokładały starań, by rozwijać jej wiarę w nadziei, że zdecyduje się przywdziać habit i służyć Kościołowi. Wszystkie ich wysiłki spotykały się jednak z instynktowną odmową małej. Mimo wielu prób i dobrych chęci dziewczynka nie potrafiła uznać despotycznego boga sławionego przez zakonnice i wołała weselszą, macierzyńską i litościwą boginię.

– To jest Najświętsza Maryja Panna – wyjaśniały.

– Ona jest Bogiem?

– Nie, jest matką Boga.

– Tak, ale kto rządzi w niebie? Bóg czy jego mama?

– Cicho, głupia, milcz i módl się. Proś Boga, żeby cię oświecił – radziły.

Consuelo przesiadywała w kaplicy, wpatrywała się w ołtarz zwieńczony przerażająco realistyczną figurą Chrystusa i usiłowała odmawiać różaniec, ale jej myśli biegnęły natychmiast ku przygodom bez końca. Wspomnienia z puszczы przeplatały się w nich z historią świętą, której bohaterowie dźwigali brzemień cierpień, bożej zemsty, aureolę męczeństwa i cudów. Łapczywie chłoneła wszystko, rytualne słowa mszy, niedzielne kazania, pobożne lektury, nocne hałasy, wiatr wśród kolumn w korytarzu, głupawy wyraz twarzy świętych i proroków stojących w niszach kościoła. Nauczyła się trzymać język na wodzy i przechowała niezmierzone bogactwo opowieści niczym cenny skarb aż do chwili, gdy dałam jej sposobność do wyrzucenia z siebie skrywanego wewnątrz potoku słów.

Consuelo spędzała w kaplicy wiele czasu, siedząc nieruchomo, ze złożonymi rękoma i z wypisaną na twarzy błogością przeżywającego zwierzęcia, aż wreszcie w klasztorze rozeszła się plotka, jakoby była błogosławiona i miała widzenia. Matka Przełożona, praktyczna Katalonka, nie tak skłonna jak inne zakonnice do wiary w cuda, zdała sobie jednak sprawę, że dzieje się tak za sprawą nie tyle pobożności, ile raczej nieuleczalnego roztargnienia, a ponieważ dziewczynka nie wykazywała także żadnego entuzjazmu do szycia materacy, wyrabiania hostii czy wyplatania koszy, Matka Przełożona orzekła, że jej edukacja dobiegła końca, i umieściła ją jako służącą u profesora Jonesa, cudzoziemca, który był lekarzem. Zaprowadziła ją za rękę do nieco podupadłego, lecz ciągle jeszcze wspaniałego domu w stylu francuskim, położonego na granicy miasta, u stóp wzgórza, które władze uznały za park narodowy. Widok owego mężczyzny wywarł na Consuelo tak wielkie wrażenie, że długie miesiące nie mogła wyzbyć się strachu. Zobaczyła go, gdy wszedł do pokoju w rzeźnickim fartuchu, trzymając w ręku dziwny metalowy przyrząd, i nie przywitawszy się z nimi, zamienił z Matką Przełożoną cztery niezrozumiałe zdania, a ją zbył mruknięciem i bez jednego spojrzenia posłał do kuchni, najwidoczniej nazbyt zajęty własnymi sprawami. Ona natomiast przyjrzała mu się uważnie, bo nigdy przedtem nie widziała równie groźnego osobnika, nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że jest ładny jak Chrystus na obrazku, cały ze złota, z taką samą jasną brodą i oczyma nieprawdopodobnego koloru.

Jedyny pryncypał, u którego przyszło jej pracować, całymi latami doskonalił system balsamowania zwłok i tajemnicę tę, na szczęście dla rodzaju ludzkiego, zabrał ze sobą do grobu. Pracował także nad lekarstwem na raka, bo zauważył, że choroba ta rzadko występuje na obszarach objętych malarią, z czego wysnuł naturalny wniosek, że stan zdrowia chorych może się poprawić, jeśli wystawić ich na ukąszenia komarów bagiennych. Posługując się taką samą logiką,

eksperymentował, bijąc po głowach ludzi głupich od urodzenia lub z powołania, ponieważ przeczytał w „Gazecie Lekarskiej”, że pewna osoba stała się geniuszem w wyniku urazu mózgu. Był zdeklarowanym antysocjalistą. Obliczył, że gdyby światowe bogactwa zostały równo rozdzielone, każdy mieszkaniec planety dostałby mniej niż trzydzieści pięć centymów, więc wszelkie rewolucje były zbyteczne. Wyglądał krzepko i zdrowo, był ciągle w złym humorze, miał wiedzę mędrca i spryt zakrystianina. Jego przepis balsamowania był zachwycająco prosty, jak prawie wszystkie wielkie wynalazki. Nie wyjmował wnętrzości, nie opróżniał czaszki, nie zanurzał ciała w formalinie ani nie wypełniał go dziegiem i pakułami, by w efekcie pomarszczyło się jak śliwka i spoglądało ośłupiałymi oczyma z malowanego szkła. Z ciepłego jeszcze nieboszczyka spuszczał po prostu krew i zastępował ją pewnym płynem, który konserwował ciało, jakby nadal żyło. Skóra, choć blada i zimna, nie ulegała zepsuciu, włosy pozostawały mocne, a bywało, że nawet paznokcie trwały na swoim miejscu i nadal rosły. Jediną chyba niedogodnością był ostry, przenikliwy odór, do którego wszakże rodzina z czasem się przyzwyczajała. W tamtych czasach niewielu pacjentów poddawało się z własnej woli leczniczym ugryzieniom owadów lub uderzeniom kija, ale jego sława mistrza w sztuce balsamowania zwłok dotarła aż za ocean i często przyjeżdżali do niego z wizytą naukowcy europejscy i amerykańscy kupcy, pragnący wydrzeć mu tajemnicę. Zawsze odjeżdżali jak niepyszni. Najgłośniejszy przypadek, który rozsławił jego imię na całym świecie, dotyczył pewnego znanego miejscowego adwokata. Jurysta ten przejawiał za życia skłonności liberalne, więc Dobroczyńca kazał go zabić, gdy ten wychodził z premiery operetki *La Paloma* w Teatrze Miejskim. Do profesora Jonesa przywieziono jeszcze ciepłe ciało, tak podziurawione przez kule, że trudno było zliczyć rany, ale z nietkniętą twarzą. Choć profesor uważał ofiarę za swego ideologicznego przeciwnika, bo sam był zwolennikiem systemów autorytarnych i nie miał zaufania do

demokracji, która wydawała mu się pospolita i nazbyt przypominała rządy socjalistów, zajął się konserwacją zwłok z wynikiem tak znakomitym, że rodzina posadziła nieboszczyka w bibliotece, ubrała w najlepszy garnitur i włożyła mu pióro do prawej ręki. Strzegła go przed molami i kurzem przez kilka dziesięcioleci, na dowód brutalności dyktatora, który ze swej strony nie odważył się interweniować, bo można walczyć z żywymi, ale czymś zupełnie odmiennym jest napadać na zmarłych.

Gdy Consuelo przezwyciężyła wreszcie początkowy strach i zrozumiała, że rzeźnicki fartuch i cmentarny zapach jej pana są nieistotnymi drobiazgami, bo tak naprawdę ma do czynienia z osobą łatwą w obejściu, wrażliwą, a chwilami nawet sympatyczną, poczuła się swobodnie w domu, który wydał jej się rajem w porównaniu z klasztorem. Nikt tu nie zrywał się o świcie, by odmówić różaniec za zbawienie ludzkości, nie trzeba było też klęczeć na garści grochu, by własnym cierpieniem odkupić cudze winy. Podobnie jak w starym klasztorze Siostrzyczek Miłosierdzia, po domu tym również krążyły tajemnicze upiory, których obecność wyczuwali wszyscy oprócz profesora, uporczywie kwestionującego ich istnienie, ponieważ nie było po temu naukowej podstawy. Chociaż na dziewczynę spadły najbardziej uciążliwe obowiązki, znajdowała czas na marzenia, nie niepokojona przez nikogo, bo w jej milczeniu dopatrywano się wręcz nadprzyrodzonych zalet. Była silna, nigdy nie narzekała i wykonywała polecenia bez zadawania pytań, tak jak nauczyły ją zakonnice. Oprócz wyrzucania śmieci, prania i prasowania bielizny, mycia ustępów, codziennego odbierania lodu do chłodni, przywożonego na grzbiecie osła i przechowywanego w grubej soli, pomagała także profesorowi przygotowywać roztwór w wielkich aptecznych flakonach, dbała o zwłoki, odkurzała je, likwidowała sztywność stawów, ubierała, układała im włosy i różowała policzki karminem. Uczony dobrze się czuł w towarzystwie służącej. Zanim zjawiła się u jego boku, zawsze pracował samotnie,

w największej tajemnicy, ale z czasem przyzwyczał się do obecności Consuelo i pozwolił, by pomagała mu w laboratorium, wyszedł bowiem z założenia, że ta milcząca kobieta nie przedstawia sobą żadnego niebezpieczeństwa. Pewny, że ilekroć jej potrzebuje, zawsze jest w pobliżu, zdejmował marynarkę i kapelusz i nie oglądając się za siebie, pozwalał im spadać, by ona mogła chwycić je w locie, nim dotkną podłogi. Ponieważ nigdy się na niej nie zawiódł, obdarzył dziewczynę ślepym zaufaniem. Doszło do tego, że Consuelo stała się jedyną prócz wynalazcy osobą, która znała sekret cudownego roztworu, ale wiedza ta na nic jej się nie przydała, bo nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby zdradzić swego pana i sprzedać jego tajemnicę. Nie lubiła zajmować się nieboszczykami i nie rozumiała celu balsamowania. Gdyby miało czemuś służyć, myślała, natura przewidziałaby to sama i nie pozwoliłaby rozkładać się zwłokom. Pod koniec życia znalazła jednak wytłumaczenie tego odwiecznego zapachu ludzkości, by zachowywać swoich zmarłych, ponieważ odkryła, że mając ich ciała w zasięgu ręki, łatwiej się ich pamięta.

Minęło wiele lat bez niespodzianek. Nie docierały do niej żadne plotki z okolicy; z klasztoru zakonnic przeniosła się do klasztoru profesora Jonesa. Było tam, co prawda, radio przynoszące nowe wiadomości, ale rzadko je włączano, słuchano wyłącznie płyt z muzyką operową, które pan nastawiał na lśniącem gramofonie. Nie dochodziły także gazety, tylko pisma naukowe, ponieważ wydarzenia w kraju i na świecie nie wzbudzały zainteresowania uczonego. Dużo bardziej niż pospolitymi przypadkami teraźniejszości interesował się wiedzą abstrakcyjną, zgłębianiem historii lub prognozowaniem niepewnej przyszłości. Całe ściany, od podłogi aż po sufit, zastawione były regałami z książkami, ciemnymi, oprawnymi w skórę tomami, pachnącymi, miękkimi w dotyku, ze złotymi tytułami i grzbietami, z szeleszczącymi, przeświecającymi kartkami i delikatnym drukiem. Były tam wszystkie dzieła człowieczej myśli, ustawione na pozór bezładnie, choć profesor dokładnie pamiętał,

gdzie każde z nich się znajduje. Utwory Szekspira spoczywały obok *Kapitału*, maksymy Konfucjusza sąsiadowały z *Życiem fok*, mapy dawnych żeglarzy leżały tuż obok powieści gotyckich i poezji hinduskiej. Consuelo spędzała kilka godzin dziennie na odkurzaniu książek. Gdy dochodziła do ostatniej półki, trzeba już było wracać do pierwszej, ale to lubiła w swojej pracy najbardziej. Wyjmowała książki delikatnie, ścierała z nich kurz, pieściła dłońmi i kartkowała, żeby zanurzyć się na kilka minut w ich prywatnym świecie. Nauczyła się je poznawać i ustawiać na regałach. Nigdy nie ośmieszyła się poprosić o pożyczenie żadnej z nich, wyjmowała je po kryjomu, zabierała do swojego pokoju, czytała nocami, a następnego dnia odstawiała na miejsce.

Nic nie wiedziała o współczesnych niepokojach, katastrofach czy postępie, jaki dokonywał się w jej epoce, zyskała jednak szczegółową wiedzę o rozruchach studenckich, do których doszło akurat wtedy, gdy profesor Jones przechodził przez śródmieście – o mały włos nie zabiła go policja konna. Consuelo musiała mu potem robić okłady na siniaki oraz karmić przez smoczek zupą i piwem do czasu, aż umocniły się naruszone zęby. Doktor wyszedł, by kupić kilka produktów niezbędnych do doświadczeń, zupełnie zapomniawszy, że trwa właśnie karnawał, rozpustny obrzęd, na skutek którego co roku byli ranni i zabici, choć tym razem pijackie burdy zeszły na dalszy plan w następstwie innych zdarzeń, które wstrząsnęły uspionymi sumieniami. Jones przechodził właśnie przez ulicę, gdy wybuchły zamieszki. Prawdę mówiąc, kłopoty zaczęły się dwa dni wcześniej, kiedy to studenci wybrali królową piękności w pierwszym demokratycznym głosowaniu, które odbyło się w kraju. Po koronacji i kwiecistych przemówieniach, w których kilku studentów zagalopowało się i rozprawiało o wolności i niezawisłości, młodzież postanowiła urządzić manifestację. Nigdy wcześniej nie widziano czegoś podobnego, policja zareagowała dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach i stało się to dokładnie w chwili, gdy profesor

Jones wychodził z apteki z flakonikami i proszkami. Spostrzegł wprawdzie policjantów pędzących galopem ze wzniesionymi do boju pałaszami, ale nie usunął się z drogi ani nie przyspieszył kroku, bo szedł pogrążony w rozważaniach o formułach chemicznych i cały ten zgiełk wydał mu się w bardzo złym guście. Przytomność odzyskał na noszach, w drodze do szpitala dla biedoty. Ściskając dłońią szczękę, by zęby nie posypały się po bruku, zdołał jedynie wykrztusić prośbę o zmianę trasy i zanieśenie go do domu. Kiedy odzyskiwał zdrowie, ułożony na miękkich poduszkach, policja schwytała przywódców buntu i zamknęła ich w więzieniu, żaden jednak nie został pobity, bo byli wśród nich synowie najznakomitszych rodzin. Ich aresztowanie wywołało falę reakcji solidarnościowych i nazajutrz stawiły się pod więzieniami i koszarami dziesiątki chłopców, gotowych iść za kraty. Zamykano ich, w miarę jak przybywali, ale kilka dni później trzeba było wszystkich wypuścić, bo cele nie pomieściły tylu dzieciaków, a do tego lament źle wpływał Dobroczyńcy na trawienie.

Wiele miesięcy później, gdy profesorowi Jonesowi umocniło się uzębienie i przestał się czuć poturbowany na duchu, studenci znowu zaczęli się burzyć i tym razem dołączyli do nich niektórzy młodzi oficerowie. Minister wojny zgasił ten bunt w siedem godzin, a ci, co zdołali się uratować, udali się na emigrację, gdzie pozostali siedem lat, aż do zgonu Ojca Ojczyzny, który zafundował sobie luksus spokojnej śmierci we własnym łóżku, zamiast umrzeć powieszony za jadra na ulicznej latarni, jak tego pragnęli jego wrogowie, a czego obawiał się ambasador amerykański.

Po śmierci sędziwego przywódcy i zakończeniu długiej dyktatury profesor Jones o mało nie wsiadł na statek powrotny do Europy, przekonany – podobnie jak wiele innych osób – że kraj pogrąży się w nieuchronnym chaosie. Natomiast ministrowie stanu, przerażeni możliwością powstania ludowego, zebrali się pośpiesznie i jeden z nich zaproponował, by wezwać doktora, bo skoro martwe ciało

Cyda Walecznego, przywiązane do wierzchowca, mogło stoczyć bój z Maurami, zabalsamowane ciało Dożywotniego Prezydenta może nadal rządzić, umieszczone w fotelu tyrana. Uczony poszedł w towarzystwie Consuelo, która niosła jego torbę i przyglądała się obojętnie domom o czerwonych dachach, tramwajom, mężczyznom w słomkowych kapeluszach i dwukolorowych butach, widocznej w Pałacu szczególnej mieszance luksusu i bałaganu. Podczas wielomiesięcznej agonii Dobroczyńcy złagodzone środki bezpieczeństwa, a już bezpośrednio po jego śmierci zapanowało ogromne zamieszanie, nikt więc nie zatrzymał przybysza ani jego służącej. Kroczyli korytarzami, mijając salony, aż w końcu weszli do pokoju, gdzie w koszuli nocnej, rękawiczkach z miękkiej koziej skóry i cuchnący moczem leżał ów potężny człowiek, ojciec setki bękartów, pan życia i śmierci swoich poddanych i właściciel niesłychanej fortuny. Za drzwiami dygotali członkowie jego świty i kilka konkubin, a ministrowie wahali się między ucieczką za granicę a pozostaniem w kraju, niepewni, czy mumia Dobroczyńcy zdoła pokierować dalej losami ojczyzny. Profesor Jones stanął przy zwłokach i przyjrzał im się z zainteresowaniem właściwym badaczowi owadów.

– Czy to prawda, że potrafi pan balsamować zmarłych, doktorze? – spytał otyły jegomość z wąsami przypominającymi wąsy dyktatora.

– Hmm...

– Radzę tego nie robić, bo teraz rządzić będę ja, ponieważ jestem jego bratem, krew z krwi i kość z kości – zagroził tamten, odslaniając potężny rewolwer za pasem.

W tej samej chwili zjawił się minister wojny, wziął uczonego pod ramię i odciągnął na bok, żeby porozmawiać bez świadków.

– Nie myśli pan chyba zabalsamować nam prezydenta...

– Hmm...

– Niech pan się lepiej nie wtrąca, bo teraz moja kolej, by rządzić, trzymam przecież wojsko w garści...

Profesor Jones opuścił Pałac lekko zbity z tropu, a za nim wyszła Consuelo. Nigdy się nie dowiedział, kto go wezwał ani po co. Wyszedł, mrucząc pod nosem, że nie sposób zrozumieć tych tropikalnych narodów i że byłoby lepiej wrócić do ukochanego rodzinnego miasta, w którym działają prawa logiki i uprzejmości, miasta, z którego nigdy nie powinien był wyjeżdżać.

Minister wojny przejął rządy, nie wiedząc dokładnie, co powinien robić, bo zawsze wykonywał tylko polecenia Dobroczyńcy i nie potrafił przypomnieć sobie w całej swojej karierze żadnej samodzielnej decyzji. Nadeszły chwile niepewności, jako że lud nie chciał uwierzyć w śmierć Dożywotniego Prezydenta i uważał, że starzec wystawiony na marach w królewskiej trumnie to jakieś oszustwo, jeszcze jedna sztuczka, którą wymyślił ten stary drań, żeby dopaść oszczerców. Ludzie pozamykali się w domach i nie mieli odwagi wystawić nosa na ulicę, więc żandarmi wdzierali się do budynków, wyciągali obywateli siłą i zmuszali do oddania ostatniego hołdu Przywódcy, który zaczynał już cuchnąć wśród gromnic z dziewiczego wosku i irysów przysłanych samolotem z Florydy. Widząc okazały pogrzeb, prowadzony przez dygnitarzy kościelnych ubranych w liturgiczne szaty, lud uwierzył wreszcie, że nieśmiertelność zawiodła tyrana, wyległ więc na ulice, aby to uczcić. Kraj zbudził się z długiego letargu i w kilka godzin zniknęły przygniatające tu wszystkich uczucia smutku i zmęczenia. Ludzie zaczęli nieśmiało przebąkiwać o wolności. Wznosili okrzyki, tańczyli, rzucali kamieniami, wybijali szyby w oknach, a nawet splądrowali niektóre posiadłości ulubieńców reżimu i spalili długiego, czarnego packarda, którego klakson rozpoznawali nieomylnie, bo jeździł nim Dobroczyńca, sięjąc strach na drodze przejazdu. Wtedy to właśnie minister wojny położył kres rozprężeniu, zasiadł na prezydenckim fotelu, rozkazał użyć broni i uspokoić nastroje i natychmiast, za pośrednictwem radia, zwrócił się do narodu, by proklamować nowy porządek. Stopniowo powrócił spokój. Więzienia zostały opróżnio-

ne z dawnych więźniów politycznych, by ich miejsce mogli zająć nowi, a u steru władzy stanął rząd bardziej postępowy, który przyrzekł wprowadzić naród w dwudziesty wiek, co nie było takie głupie, wzięwszy pod uwagę ponadtrzydziestoletnie opóźnienie. Na niedawnej politycznej pustyni zaczęły powstawać pierwsze partie, zorganizował się parlament i nastąpiło odrodzenie życia publicznego.

W dniu pochówku adwokata, ulubionej mumii profesora, uczyony dostał ataku szału, co zakończyło się wylewem krwi do mózgu. Na prośbę władz, które nie chciały brać na swoje konto ofiar poprzedniego reżimu, krewni sławnego męczennika tyranii wyprawili mu wspaniały pogrzeb. Wszyscy mieli wrażenie, że chowają żywego, jako że ciało adwokata było nadal w dobrym stanie. Jones wszelkimi sposobami starał się nie dopuścić, żeby jego dzieło sztuki wylądowało w grobowcu, ale na próżno. Stał z szeroko rozłożonymi ramionami w bramie cmentarza, by nie pozwolić wejść czarnemu powozowi, który przewoził mahoniową trumnę ze srebrnymi okuciami, ale woźnica nie zatrzymał się i bez najmniejszych skrupułów przejechałby doktora, gdyby ten się w porę nie usunął. Gdy zamurowano grób, specjalista od balsamowania padł rażony apopleksją: połowa ciała pozostawała sztywna, drugą targały drgawki. I tak, za sprawą tego pogrzebu, zniknął za marmurową płytą niepodważalny dowód na to, że dzięki cudownemu roztworowi uczonego można odwlec w nieskończoność proces rozkładu.

Dla Consuelo były to jedyne znaczące wydarzenia w latach, gdy pracowała jako służąca w domu profesora. Różnicę między dyktaturą a demokracją wyznaczały odtąd okazjonalne wyjścia do kina na filmy z amantem Carlosem Gardelem, zabronione wcześniej dla młodych panienek, oraz to, że po ataku szału jej chlebodawca stał się inwalidą i odtąd musiała się nim opiekować jak dzieckiem. Jej codzienny rozkład zajęć pozostał prawie niezmienny, aż do pa-

miętnego lipcowego dnia, kiedy żmija ukąsiła ogrodnika. Był to wysoki, silny Indianin o delikatnych rysach twarzy, skryty i milczący, z którym nie zamieniła więcej niż dziesięć słów, choć pomagał jej przy nieboszczykach, pacjentach chorych na raka oraz przy idiotach. Podnosił pacjentów niczym piórka, przerzucał ich sobie przez ramię bez śladu zaciekawienia i wspinał się szybkimi susami po schodach do laboratorium.

– Surucucú ukąsiła ogrodnika – oznajmiła Consuelo profesorowi.

– Przynieś go do mnie, gdy umrze – padło polecenie z wykrzywionych ust uczonego.

Jones cieszył się na myśl o sporządzeniu indiańskiej mumii w pozycji żonglera i ustawieniu jej jako dekoracji w ogrodzie. Był już wówczas dość stary i zaczynał popadać w artystyczny obłęd. Marzył o stworzeniu własnego muzeum ludzkich posągów i przedstawieniu w nim wszystkich zawodów.

Po raz pierwszy w swym pełnym milczenia życiu Consuelo nie usłuchała polecenia i zrobiła coś na własną rękę. Przy pomocy kucharki zaciągnęła Indianina do pokoju przy najdalszym patio i ułożyła na sienniku. Postanowiła go ratować, ponieważ nie chciała, żeby dla zaspokojenia kaprysu jej chlebobawca zmienił go w dekoracyjny posąg, a także dlatego, że odczuwała czasami niewytłumaczalny niepokój, patrząc na ciemne, wielkie i silne dłonie tego mężczyzny, pielęgnujące rośliny z wyjątkową delikatnością. Obmyła jego ranę wodą z mydłem, zrobiła dwa głębokie nacięcia nożem do krojenia kurczaków i przez dłuższy czas ssła zatrutą krew, a potem wypłukała ją do naczynia. Co chwila przepłukiwała usta wodą z octem, żeby nie umrzeć. Następnie owinęła ogrodnika w kawałki płótna namoczone w terpentynie, dała mu na przeczyszczenie napary z ziół, do rany przyłożyła pajęczynę i pozwoliła kucharce zapalić świece dla świętych, choć sama nie wierzyła w takie rzeczy. Kiedy w moczu chorego pojawiła się krew, wykradła z gabinetu profesora niezawodny lek na krwotoki z dróg moczowych, ale mimo wszyst-

kich tych starań w nogę wdała się gangrena, a ogrodnik – przytomny i milczący – zaczął umierać bez jednej skargi. Consuelo zauważyła, że mimo strachu przed śmiercią, bólu i duszności reagował z ożywieniem, gdy nacierała mu ciało lub robiła okłady. Niespodziewana erekcja poruszyła serce dojrzałej dziewczycy, a kiedy chwycił ją za ramię i spojrzał błagalnie, zrozumiała, że nadeszła chwila, by praktycznie poświadczyć sens swego imienia, które znaczy przecież „pociecha”, i pocieszyć chorego w wielkim nieszczęściu. Poza tym zdała sobie sprawę, że w ciągu swoich trzydziestu kilku lat życia ani nie poznała rozkoszy, ani jej nie szukała, przekonana, że jest to dziedzina zastrzeżona dla postaci z filmów. Postanowiła sprawić tę przyjemność sobie, a i choremu przy okazji, by mógł opuścić ten padół w lepszym nastroju.

Tak dobrze znałam swoją matkę, że mogę wyobrazić sobie, co stało się potem, choć nie wyznała mi wszystkiego ze szczegółami. Nie była wstydliva i zawsze szczerze odpowiadała na moje pytania, gdy jednak zaczynała mówić o Indianinie, milkła zazwyczaj, jakby zatapiając się w dobrych wspomnieniach. Zdjęła bawełniane fartuch, halkę i płócienne majtki i rozplotła kok upięty na karku wedle wymagań swego chlebobawcy. Długie włosy opadły i otulona ich płaszczem, najlepszą wizytówką swej urody, delikatnie usiadła okrakiem na umierającym, tak by nie przyspieszyć jego agonii. Nie bardzo wiedziała, co powinna robić, nie miała w tych sprawach żadnego doświadczenia; z pomocą przyszły jej instynkt i dobra wola. Mięśnie napięły się pod ciemną skórą mężczyzny, a ona miała wrażenie, że dosiada wielkiego dzikiego zwierzęcia. Szepcząc mu wymyślone naprędce słowa i ocierając pot z czoła, zsunęła się na właściwe miejsce i zaczęła delikatnie poruszać, jak żona nawykła do uprawiania miłości z bardzo starym mężem. Po chwili przewrócił ją na plecy i objął z pośpiechem, do jakiego skłaniała go bliskość śmierci, a ich krótkie szczęście rozjaśniło mrok pokoju. Tak zostałam poczęta, na łożu śmierci mego ojca.